

Zwykła gwiazda

Z ANNA DYMNA rozmawia Andrzej Leśniewski

– Czy wyobrażenie o zawodzie aktorki, o pracy w filmie, w teatrze wytrzymało u pani zderzenie z rzeczywistością?

– U mnie wytrzymało. Dlatego, że ja nigdy nie chciałam być gwiazdą, a nawet aktorką. Kiedy byłam młodą dziewczyną wyobrażałam mi się, że to jest najcięższy zawód na świecie. Nigdy nie pociągało mnie to, żeby być w punkcie zainteresowania, żeby się ludzie na mnie gapili, żeby myśleli, że jestem wspaniała i piękna. Byłam zawsze bardzo wstydliva i wydawało mi się że gdybym musiała tak zdawać egzaminy przed ludźmi i to codziennie na scenie, to bym zwariowała. Kiedy zostałam już tą aktorką i zaczęłam się mierzyć z tym wszystkim, to bardzo mi się rozczarowałam.

– Czy trudno jest pani nosić brzołę osoby publicznej znanej?

– Już w tej chwili nie sprawia mi to większej trudności, jakkolwiek ma to różne strony i oblicza. W pewnym momencie dowiadujemy się, że taka popularność nie ma żadnej prawdziwej wartości. Nauczyłam się z tym żyć i nie zważać na to, że ludzie na ulicy się na mnie gapią, że mówią o nas nieprawdopodobne rzeczy, ja już to wszystko wiem i mam do tego zdrowy dystans. Środki masowego przekazu są niesprawiedliwe, dziennikarze wobec nas zachowują się okropnie, żerując na naszych życiach i pisząc o nas głupoty. Mam taką naturę, że zawsze się uśmiecham i niczemu nie zaprzeczam, staram się unikać rozmów z Wampirami i tym podobnymi

„dziennikarzami”, bo uważam, że to jest poniżej godności ludzkiej. Zapełnianie takich potrzeb w postaci omawiania plotek, albo zadawanie kłamu jakimś idiotycznym pomówieniom kompletnie mnie nie interesuje. Ludzi i tak będą sobie mówić, co chcą. Człowiek nie lubi patrzeć na własne życie, więc lubi się babrać w innych i sobie co wymyślać. Popularność również łączy się z innymi obciążeniami, z różnymi funkcjami społecznymi. Sam fakt, że jestem osobą popularną, mogę na przykład wykorzystywać w dobrym celu, aby czasem ludziom pomóc bardziej niż człowiek mniej znany. Niektórzy złośliwi ludzie mówią: o wszędzie się pcha, zbiera te pieniądze, a ja odpowiadam: przecież ty też możesz postać sobie i też pozbierać. Nie przejmuję się i dalej robię swoje. Ogromnym obciążeniem są też listy od widzów, którzy coraz śmieiej piszą o swoich problemach.

– Otrzymuje pani setki listów, nawet pani mąż nazwał panią zjawiskiem socjologicznym.

– Tak. Te listy są niezwykle ciekawe dla socjologa, bo one jak gdyby są obrazem naszego społeczeństwa. Ludzie piszą w nich o tym, co czują, jak sobie nie radzą w nowej rzeczywistości. Dostaję setki listów z prośbą o pomoc pieniężną, wręcz szantażujących mnie, że mam natychmiast zapłacić trzy, cztery tysiące za prąd, kupić jedzenie, kurtki, futro – to jest na porządku dziennym, ale piszą też ludzie bezradni. W tej chwili pogłębia się różnica między stanem posiadania ludzi w Polsce. Niektó-

rzy są kompletnie zagubieni, bo nie wiedzą do kogo mają się udać. Nie wiedzą kto może im pomóc i nawet piszą listy bez adresów zwrotnych. Są to ludzie chorzy, często śmiertelnie, którzy myślą, że ja mogę im pomóc i to jest dla mnie okropnym obciążeniem. Dostaję listy od ludzi z więzień, którzy nie mają do kogo napisać. Moja przyjaciółka psycholog mówi: „ty tego w ogóle nie czytaj, bo zwariujesz”, no ale jeśli jest coś do mnie napisane, to jak mam nie czytać. Tak więc z tą popularnością łączy się strasznie dużo dziwnych zjawisk, z którymi my musimy sobie na co dzień radzić. Kiedy idę ulicą przez Kraków, w którym mnie chyba lubią, bo będąc aktorką z trzydziestoletnim stażem czuję się już takim Smokiem Wawelskim, to słyszę: że jestem gruba, że jestem chuda, że dobrze wyglądam, że źle wyglądam, jestem świetnie lub źle ubrana itd. Trzeba mieć do tego absolutny dystans.

Po reakcjach ludzi na ulicy dowiaduję się na przykład jaki film z moim udziałem właśnie jest emitowany, bo słyszę: „Jejku, to pani jeszcze żyje?” – to znaczy, że „Janosik” szedł, albo kiedy słyszę: „z pani to tylko głos został” – to znaczy, że „Znachor”. Ludzie są wobec aktorów okrutni, ale to z kolei jest równoważone tymi miłymi oznakami kiedy dostanę kwiatek, albo ktoś się uśmiechnie, albo poprosi o autograf. Niektórzy nie wiedzą nawet jak się nazywam, ale mnie znają.

– Napisano o pani, że jest pani gwiazdą, którą można spotkać w tramwaju, w sklepie....

– Ponieważ jestem zupełnie normalnym człowiekiem, dlatego mogę ten zawód uprawiać. Nie mam w sobie nic z gwiazdy i nie znoszę sytuacji kiedy facet w banku nie może zrozumieć, że ja nie chcę być specjalnie obsługiwana, bo ja lubię sobie postać w kolejce, bo wtedy obserwuję ludzi. Lubię czasem wsiąść do tramwaju i zobaczyć co tam słychać, lubię jeździć na rowerze, iść do sklepu, żeby zobaczyć gdzie żyję i wśród jakich ludzi żyję.

– W swoim życiu doświadczyła pani wielu cierpień zarówno psychicznych, jak i fizycznych, czy ogólnie jednak los był dla pani łaskawy?

– Osiągnęłam pewną harmonię, równowagę psychiczną i mam dziecko, czyli najważniejsze, co chciałam mieć. Umiem to dostrzec i myślę, że jest wielu tak szczęśliwych ludzi jak ja tylko nie chcą tego zauważyć. Równie dobrze mogłabym w sobie znaleźć same nieszczęścia i mogłabym panu powiedzieć wręcz odwrotnie o swoim życiu, ale ja tego nie chcę widzieć, chcę widzieć to dobre. Kiedy mamy odwrotny stosunek do życia to wszystko jest niedobre, wszystkiego się nie widzi, deszcz pada to jest okropnie, słońce świeci to jest też okropnie. Są tacy ludzie, niestety my się tym charakteryzujemy, w ogóle nasz naród na wszystko narzeka, nie się nie podoba, wszystko się opłuwa. Wtedy jak człowieka naprawdę spotka nieszczęście, to się załamuje.

– Podobno syn Michał bardzo odmienił pani życie.

– Odmienił, bo życie zaczyna mieć dopiero wtedy sens kiedy zaczyna się żyć dla kogoś innego. Michał uspokoił mnie, czuję się naprawdę potrzebna, nie mam poczucia zagrożeń, które miałam wcześniej. Mimo że nigdy nie histeryzowałam, ale ten zawód jest taki, że w każdej chwili można stać się zupełnie niepotrzeb-

nym i samotnym. Takich przypadków jest tysiące, a dziecku przez jakiś czas na pewno będę potrzebna, a potem jak mi się uda być jeszcze jego przyjacielem, a nie tylko matką, to będę mu potrzebna całe życie.

– Podobno nie lubi pani bywać.
– Nie mam na to siły, poza tym to jest kompletnie nieinteresujące. Mój mąż odkad jest dyrektorem teatru, również jest w podobnej sytuacji.

Dostajemy setki zaproszeń na wernisáže, promocje, otwarcia, itd. Moglibyśmy nic nie kupować, tylko jeść i pić i w ogóle żyć za darmo, ale to nie ma żadnej wartości. Owszem, czasem zdarza się spotkać kogoś bardzo miłego, ale zwykle to jest tak, że stoję na środku sali, podchodzą do mnie setki osób, zadają mi pytanie i nikt nie czeka na odpowiedź.

Ja tak z otwartymi ustami stoję zdziwiona, chcę odpowiedzieć, ale ten ktoś już poszedł komuś innemu zadać pytanie. Tam bywają zwykle ci sami ludzie. Takie spotkania kompletnie mnie nie interesują, bo jak chcę sobie z kimś porozmawiać, to na pewno nie robię tego na bankietach tego typu, tylko go zapraszam do domu, albo idę do niego. Na takich bywanych uroczystościach jest często głupio i nudno.

– Podobno to, że ma pani tak oryginalną urodę ma źródło w tym, że ma pani ormiańsko-litewsko-węgierskich przodków, czy tak?

– Moja prababka była Ormianką, a pradziadek był Węgrem. Pamiętam, że kiedy się złościł to mówił w okropnie dziwnym języku. Kiedy pojechałam na Węgry do Miklosza Janczo robić filmy, to okazało się, że mam naprawdę zdolności językowe, bo zaczęłam mówić po węgiersku po dwóch tygodniach.

– Czy ogląda się pani za siebie?
– Tak, żeby nie popełniać błędów. Mam za czym się oglądać.